

Profesor Maria Janion

Słowa z okazji otrzymania nagrody Polskiego PEN Club-u w stulecie odrodzonej Polski i czterdziestolecie śmierci Jana Parandowskiego

Uhonorowana szczególną, rocznicową nagrodą polskiego PEN Clubu, odczuwam radość i wdzięczność. Fizycznie nie mogę uczestniczyć w ceremonii wręczenia nagrody, więc pisemną drogą przekazuję najgorętsze podziękowania.

Po chwili namysłu otrzymanie tej wspaniałej nagrody wywołało we mnie pewne zadziwienie. Wiąże się ono z postacią Jana Parandowskiego, jej patrona. Zetknęłam się z wczesną twórczością Parandowskiego w Wilnie, jako uczennica. Za sprawą ukochanej nauczycielki łaciny pasjonowałam się wówczas antykiem. Parandowski stał się dla mnie imponującym przewodnikiem po epoce, którą poznawałam i uwielbiałam.

W ten sposób – i stąd bierze się moje zdziwienie – postać znana przed wieloma laty, we wczesnej epoce przebudzenia umysłu, pojawia się teraz, u schyłku drogi. Dziś mój umysł zajęty jest, tak samo jak zawsze, bieżącymi sprawami, ale i prywatną starożytnością, tym właśnie okresem pierwszych poważnych lektur, myślenia i rozbuchania wyobraźni. Międzywojniu poświęcam teraz całą uwagę, czytam prawie tylko o tym. Objawiła mi się więc kolistość czas. Powrócił obraz przedwojennego pisarza, którego potem osobiście nie poznałam, ale w dorosłym życiu widywałam z daleka, gdy mieszkaliśmy po sąsiedzku na starej Ochocie w Warszawie.

Uradowana wyrazistym sygnałem ze świata – zawiadomieniem o nagrodzie – sięgnęłam po jeden ze zbiorów zapisków Jana Parandowskiego, po tzw. kartki. Niestrudzenie gromadził na nich okruchy istnienia, widok z okna, lektury, myśli i całą tę cechującą jego życie umysłowe zadziwiającą wielowymiarowość, przebywanie zarazem tu, wśród współczesnych, jak i tam, wśród starożytnych. Zdałam sobie sprawę, że odnotowana w tych *Refleksjach* z lat 60. rocznica pięćdziesięciolecia niepodległości to haniebny rok wypędzenia Żydów z Polski.

U Parandowskiego uderza powracające doświadczenie wojny. Jedno z najstraszniejszych jego doświadczeń II wojna wywołała niejako mimochodem. Wówczas

splonęły w Krakowie jego biblioteka i jego archiwum.

Obrazem wojny jest dla mnie grupa kobiet z dziećmi biegnąca gdzieś drogą, same nie wiedzą dokąd, pewnie do lasu. Oglądają się co chwila, czy nie lecą samoloty, czy nie spadną bomby na nie i na dzieci. Mama też chciała tak uciekać ze mną do lasu, ale ja się przeciw temu buntowałam i raczej trzymałyśmy się domu, mimo wszystko – domu, czyli w końcu piwnicy. Ale znam aż nazbyt dobrze ten strach przed pożarem, widmo płonących rękopisów, książek, notatek, kopii. Niekiedy sędzę, że to właśnie obcowanie ze zgliszczami wojennymi, z ruinami i szczątkami utrwaliło we mnie manię zbierania wszystkiego, co zapisane słowami.

U Parandowskiego często pojawia się słowo *pax*, pokój, i myśli wokół tego, czym on jest w Europie. Bez pamięci o wojnie nie da się tego pojąć. Pamięć nie jest możliwa bez archiwów i bibliotek. Bez nich, w moim odczuciu, nie jest możliwe życie. Czym byłaby nasza wiedza o sposobach istnienia podczas wojny i podczas pokoju, gdyby nie istniały biblioteki, zbiory źródeł, zapisy, notatniki, listy, dokumenty? Dzięki nim pojmujemy, co to znaczy być człowiekiem.

Dziś na temat własnego, obecnego istnienia staram się nie myśleć zbyt ściśle. Wiem, czym to – życie – się kończy. Ludzie wierzą, że starcy mają coś ważnego do powiedzenia, tymczasem na ogół jest to – jak sędzę – coś głęboko pesymistycznego, o czym lepiej milczeć, bo nie należy ludzi martwić.

Prowadziłam życie dosyć ograniczone. W ogóle tego nie żałuję, po prostu to wiem, przedtem nie wiedziałam. Żyłam w zakonie, w służbie instytucji naukowych, uniwersytetu, instytutu. Traktowałam to bardzo serio. Gdybym traktowała mniej serio, zajmowała się nie tylko najpoważniejszymi rzeczami, byłoby mi lżej.

Z przyjemnością czytam i rozmyślam teraz o zwierzętach, o psie, którego nigdy nie miałam, o tym, co powiedział kot odwiedzający dom mojego brata. Dawniej zwierzęta należały do tych mało istotnych spraw. Teraz wiem, że zwierzęta są piękne. Czytam Adama Wajraka. Jem zdecydowanie mniej mięsa niż dawniej. Dalej mam te same zainteresowania i sympatie polityczne. Dalej elektryzująco działają na mnie tytuły niektórych nowości wydawniczych, napotykanie w prasie. Dalej źle znoszę rozstania z zapisanymi stronami, wszystko jedno, czy kiedykolwiek były ważne, czy zawsze nieważne.

Pasjonowało mnie przez całe życie coś, co nazywałam archiwum egzystencji – próba zachowywania najdrobniejszych śladów, ocalanie wszystkiego. Bardzo często rozmyślałam o Archiwum Emanuela Ringelbluma, o zasobach z samego środka Zagłady. Myślę o nieodnalezionej ich części, spoczywającej gdzieś w ziemi.

Głęboko teraz odczuwam doniosłość działań Archiwum Kobiet Instytutu Badań Literackich PAN. Nie tylko dlatego, że dzięki życzliwości władz Instytutu znacząca część moich naukowych papierów znalazła schronienie w jednym z pokojów pałacu Staszica, co przyniosło mi spokój ducha, ale i, co nie bez znaczenia w mojej sytuacji, komfort codziennego życia.

Zespół pod kierownictwem Moniki Rudaś-Grodzkiej, gromadzący i prowadzący elektroniczne katalogi pism osobistych tworzonych przez kobiety na przestrzeni wieków, podjął się realizacji idei wyjątkowo mi bliskiej. Duchami opiekuńczymi przedsięwzięcia, jak czytałam w jego *Manifeście*, są moi ukochani autorzy – Jules Michelet i Walter Benjamin. Obaj, jak przypomina Monika, autorka manifestu, uważali obcowanie z archiwaliami za rodzaj przeżycia metafizycznego. Wyjątkowa wrażliwość kazała im odbierać impulsy odległego czasu i wypełniających go istnień, domagających się od historyków zbawienia, dopełnienia niewypełnionego życia. Czytając *Manifest* Archiwum Kobiet IBL PAN, uświadomiłam sobie, że moja mania zbieractwa tekstów ma swoich wielkich, dawnych sprzymierzeńców i młode, współczesne sprzymierzeńczynie. Sama, jak Walter Benjamin, nigdy nie mogłam wyzbyć się poczucia odpowiedzialności za drobiazgi, fragmenty, ślady. Zbiór dokumentów osobistych, intymnych pism, ale i nieraz śmieć z pozoru, szpargał, zapisane czyjąś ręką notatki, bilet tramwajowy z nagryzmołonym numerem czyjegoś domu albo telefonu, kartka na żywność – to wszystko, gdy przemienia się w archiwalny obiekt, zostaje ocalone, może zbawione właśnie. Cywilne, egzystencjalne Archiwum Kobiet IBL PAN to urzeczywistnienie marzenia, którego sama nie miałabym sił i możliwości zrealizować. Przyznaję, w znacznej mierze przyczynia się teraz do tego technologia cyfrowa.

Ktoś pewnie by zapytał, czy projekt świeckiego zbawienia przeszłych istnień przez prace historyków traktuję poważnie, czy nie jest to jedynie piękna bajda dla ateistów i ateistek. Otóż tak, traktuję to z największą powagą. Formułowana przez Benjamina i niesiona przez feministyczne archiwistki idea przedstawia samą ciepłą

ludzkość jako Mesjasza. Tylko my sami, jako ludzkość, możemy się zbawić. Sami, poprzez pamięć przeszłości.